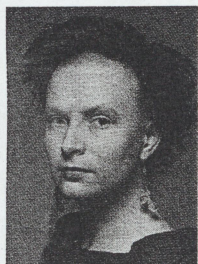


25



Powalisz

hit

kit

Inscenizacje Roberta Wilsona – architektoniczne układanki, gdzie nie ma miejsca na przypadkowy gest czy obraz – są zawsze krystalicznie czyste, ale i potwornie zimne. Emocje mają emanować z monumentalnej przestrzeni, a nie z aktorów, którzy u Wilsona poruszają się na krótkim pasku jego totalnej wyobraźni. Dlatego to, co najbardziej mnie urzekło w „Kobiecie z morza”, to nie wystudiowana do granic wytrzymałości forma, ale sposób, w jaki ze spektaklem poradzili sobie nasi aktorzy. Ellida Danuty Stenki przyciąga niczym magnes każdym ruchem, gestem, spojrzeniem. Opalizuje smutkiem i melancholią kobiety, która musi wybrać między jednym mężczyzną a drugim. Jej wewnętrzna walka sprawia, że lodowcowy świat Wilsona trzeszczy w posadach. Ibsen przepisany przez Sontag i pomnożony przez Stenkę to wielki dramat kobiety dojrzalej, która musi zabić własne emocje, aby mądrze wybrać. Ale czy mądry wybór oznacza szczęście? A może tylko głęboki spokój, jaki zawsze przynosi pogodzenie się z własną decyzją? Stenka jako Ellida stoczyła jeszcze jedną walkę – wyzwoliła się z formy Wilsona. Przekroczyła ją i pokonała, pozostając wierna założeniom inscenizacyjnym mistrza. I zrobiła to z klasą i elegancją, na jaką stać tylko wybitne aktorki. Bez niej „Kobieta z morza” byłaby tylko spektaklem z 1996 roku, który Wilson odgrzał specjalnie dla nas po drodze do Paryża i Syrakuz.

**Susan Sontag „Kobieta z morza”, reż. Robert Wilson,
Teatr Dramatyczny, Warszawa**

Trwa przyjęcie u hrabiny – wyrafinowane, ekscentryczne kostiumy oraz tło, na którym znajdują się cmy, potęgują wrażenie, że delikatny świat przedrewolucyjnej arystokracji zaraz rozplynie się we mgle. To pierwszy akt opery „Andrea Chénier” Mariusza Trelińskiego i najlepszy przykład jego talentu inscenizacyjnego.

I rzeczywiście, wir historii pochłania parę bohaterów: poetę Chéniera (Keith Olsen) i zdegradowaną arystokratkę Magdalene (Tatiana Borodina), w której kocha się też były lokaj, obecnie jeden z przywódców rewolucji. Ale niestety, dalej opera grzęźnie w scenograficznym przepychu, który ją powoli zabija. Widzimy już tylko przegląd wielkich dyktatur i rewolucji – od gilotyny po faszystowską mównicę. W trzecim i czwartym akcie wszystko zamiera: monumentalna i przytłaczająca sceneria trybunału, przed którym staje poeta, a zaraz potem ponure więzienie, gdzie skazaniec czeka na śmierć, przy kompletnym braku choreografii. Ociężała statyka sprawia, że losy bohaterów powoli przestają nas obchodzić i wzruszać. Na dodatek zabrakło wyraźnego finału. Ofiary Wielkiej Rewolucji giną w oparach gazu. Ten końcowy akord, skrót myślowy dokonany na historii XX wieku, jakoś wyjątkowo mnie zrytował. Podróż od rewolucji do Holocaustu to naprawdę niepotrzebne nadużycie. Czy taką podróż można w ogóle przeżyć?

**„Andrea Chénier”, reż. Mariusz Treliński, scen. Boris Kudliczka,
dyrygent Grzegorz Nowak, Teatr Wielki w Warszawie**

Monika Powalisz
– dramaturg związana z grupą GB, reżyser